Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 16.** dnia 15. Października 1834.



Kościół Ś. Pawła w Londynie.

Na lewym brzegu Tamizy, wznosi się w środku stolicy W. Brytanii wspaniała świątynia Ś. Pawła, pierwsza w świecie po kościele Ś. Piotra w Rzymie, wprawiająca w podziwienie widza ogromem swym i okazałością. Stoi ona w miejscu, gdzie podług świadectwa Kronikarzy angielskich, za czasów rzymskich był kościół Dyanie poświęcony, a po zaprowadzeniu Chrze-

ściaństwa pierwsza świątynia prawdziwego Boga, która wiele wieków przetrwawszy, w roku 1666 pożarem spłonęła. Krysztof Wren położył w roku 1675 kamień węgielny podziś dzień stojącego gmachu, i zaczęte dzieło w 35 latach ukończył. Z wschodniéj strony prowadzi 22 schodów z czarnego marmuru do portyku, z dwunastu koryntskich filarów złożonego. Na nim wspiera się 8 kolumn unoszących facyatę w kształcie trójkąta, ozdobioną z przodu płaskorzeźbą Franciszka Bird, wystawiającą nawrócenie Ś. Pawła; na wierzchołku facyaty stoi figura Apostoła narodów kolossalnéj wielkości. Po obu stronach portyku wznoszą się wieże z pięknemi kopułami: z prawéj strony stojąca mieści w sobie zegar, arcydzieło sztuki, z lewéj dźwiga ogromny dzwon 8500 fl. ważący, a mający 10 stóp średnicy. Głos jego piękny przy pogrzebach królów, biskupa londyńskiego, dziekana kościoła Ś. Pawła słyszeć się daje, smutek stolicy na 20 mil angielskich rozgłaszając.

Z strony północnéj i południowéj są mniejsze drzwi, jak u głównego wejścia od wschodu, otoczone 6 koryntskiemi filarami, unoszącemi kopuły. W środku świątyni wznosi się wspaniała kopuła: 32 filarów w koryntskim porządku wspiera galeryą, zwiedzaną powszechnie od podróżujących, którzy ztąd czarującego na cały Londyn i jego okolice używają widoku.

Wewnętrzna budowa kościoła nie jest odpowiadającą zewnętrznéj okazałości. Starano się pokryć to, przez przyozdobienie świątyni wewnątrz wspaniałemi nagrobkami mężów zasłużonych sprawie kraju lub sławnych naukami. Spoczywa tu Admirał Nelson, wielki Newton, sławny i poświęcający się cierpiącéj ludzkości Howard, uczony orientalista William Jones. Chorągwie wiszące w różnych częściach kościoła, są trofeami waleczności Anglików, zamieniając gmach ten na Panteon Anglii; pomnik sławy pod rozmaitym względem.

Krata żelazna pysznéj roboty przedziela presbyterium od reszty kościoła. Tron biskupa, krzesła dla księży i urzędników królewskich, ozdobione są pięknemi płaskorzeźbami. Ołtarz w stósunku wielkości całego gmachu, cokolwiek mały, jest cały złocony bogato.

Wstępując na kopułę przychodzi się do garyi, tak akustycznie zbudowanéj, iż każde słowo po cichu na jednéj stronie wyrzeczone, jak najgłośniéj w drugim końcu słychać, a trzask drzwi kościelnych, zdaje się tutaj mocnym grzmotem. W galeriach nad północnym i południowym skrzydłem kościoła jest biblioteka i skład modelów: posadzka w miejscach na bibliotekę przeznaczonych, składa się z przeszło 2000 kawałków dębowego drzewa, rozmaite figury geometryczne formujących, połączonych z sobą bez użycia gwoździa.

Cały kościół jest 500 stóp długi, 285 szeroki, a 340 wysoki. Mur niski z żelazną na wierzchu galerią, otacza cały kościół; w obwodzie tym stoi w zachodniéj stronie kościoła posąg królowéj Anny z białego marmuru: cztery niewiasty na postumencie wystawiają: Anglią, Irlandyą, Francyą i Amerykę.

Dwie wielkie uroczystości sprowadzają co rok większą część mieszkańców Londynu do kościoła Ś. Pawła; w Maju zjeżdżają się do stolicy pierwsi muzycy Anglii, i dają w nim koncert na dochód wdów i sierót, pozostałych po księżach; w Czerwcu zgromadza się tu do 8000 dzieci, które w rozmaitych zakładach wychowane bywają z składek i funduszów publicznych, aby złożyć Najwyższemu Opiekunowi hołd swój i dzięki.

O Dyamentach.

Wartość niezmierna dyamentów pochodzi nie tak z ich piękności i twardości, jak raczéj ztąd, że są nadzwyczaj rzadkie, i że ich szukanie wymaga wiele pracy i nakładu. Dotąd znajdowano je tylko w gorącym klimacie Indyi wschodnich i zachodnich; teraz zaś drogie te kamienie wraz ze złotem i platyną, kopią także w górach uralskich. Są tą ośmiograniaste mniéj lub więcéj okrągłe ziarnka, których ciężkość ma się do ciężkości wody, jak $3\frac{1}{2}$ do 1.

Jednakże prawdziwą ojczyzną dyamentów najrzadszych i najpiękniejszych jest Brazylia. Takim zaś sposobem w tym kraju odkryte zostały. Niedaleko miasta powiatowego Serro do Frio płynie rzeka Milho-Verde, w któréj złota szukano: zamiast pożądanego kruszcu znaleziono kamyczki, kształtem i pięknością swoją wprawiające wszystkich w podziwienie, a które potém od znawców za dyamenty uznane zostały.

Najważniejsze kopalnie dyamentów w Brazylii są nad rzeką Jiquitinhonha 3 do 9 stóp głębokości mającą. Miejsce teraz najobfitsze w dyamenty, jest skręt téj rzeki, za pomocą grobli usypanéj i zmienionego koryta, zupełnie osuszony.

Przedsiewzięcie to wiele kosztowało pracy i pieniędzy: musiano bowiem wysoką usypać groblą; gdyż rzeka niekiedy przybiera do znacznéj wysokości. Wydobywają zaś dyamenty następującym sposobem: kopią ziemię dyamentową i wożą na przeznaczone miejsce. Nad tém budują szopę blisko 90 stóp długości, a 40 stóp szerokości.

U góry idzie kanał wodą napełniony, i tak urządzony, iż za otwarciem spustu woda dolną część zalawszy, spada w skrzynie podługowate poniżéj umieszczone, a w których owa ziemia dyamentowa do czyszczenia się znajduje. Woda ta podług upodobania może być wpuszczona do skrzynki, a drugim końcem znowu wypuszczona. W niejakiéj odległości stoją stołki dla dozorców, którzy niewolników trudniących się szukaniem dyamentów pilnują. Stołki te nie mają poręczy, aby dozorca nie miał się o co oprzeć, i nie zasnął. Każdy murzyn ma w ręku motykę z dość krótką rękojeścią, umyślnie do tego urządzoną, którą około 80 funtów ziemi do swéj skrzynki kładzie. Po wpuszczeniu wody, rozbija się ziemia i miesza ciągle i przerzuca w górę, tak, żeby w ustawicznym zostawała ruchu. W kwandrans woda z początku mętna staje się coraz jaśniejszą, a po spłynieniu wszystkich ziemnych cząstek, zostanie sam piasek mielszy i grubszy, który jeszcze przeczyścić trzeba. Nakoniec gdy woda zupełnie czysta spływa, wyrzucają się najprzód większe, a potem i drobniejsze kamyczki, szukając starannie między niemi dyamentów. Jeżeli się nic nie znajdzie, to znowu podobna pierwszéj odbywa się robota.

Lecz gdy murzyn znajdzie dyament, podnosi się do góry i klaszcze rękami, a potem w palcach trzymając pokazuje znaleziony skarb. Najbliższy dozorca wstaje ze stołka, odbiera go, i kładzie w naczynie wysoko zawieszone, także do połowy wodą napełnione. W to naczynie kładą wszystkie dyamenty, w przeciągu dnia całego znalezione, a na wieczór dopiero wyjmują się, i oddają naddozorcy, który je waży i w księgę zapisuje.

Załączona rycina wystawia murzynów szukających dyamentów.

Kiedy niewolnik jest tak szczęśliwy, że znalezie dyament ważący $17\frac{1}{2}$ karatów: zwykle następuje wielka uroczystość. Niewolnik uwieńczony kwiatami prowadzony bywa w processyi do Przełożonego nad kopalnią, od którego wolność otrzymuje, a potem sam na siebie pracować może. Za mniejsze klejnoty w stósunku pewne nagrody są wyznaczone. Aby niewolnicy dyamentów nie kradli, różnych używają środków ostrożności: np. muszą na rozkaz dozorcy natychmiast miejsca swoje zmieniać, aby żaden kamienia gdzie nie schował, a potem nie przyszedł po niego. Jeżeli mają podejrzenie na murzyna, że połknął dyament, zamykają go do osobnéj izby, i używają takich sposobów, aby dyament na jaw wyszedł.

W Indyach wschodnich zupełnie inny mają sposób dobywania dyamentów. Najwięcéj kopalni jest w królestwie Golkonda, powiększéj części w blizkości skalistych pagorków i gór, kraj ten przerzynających, w których zazwyczaj znajdują się dyamenty. W niektórych kopalniach dopiero w znacznéj głębokości (2 do 3 sążni) odkrywają rozrzucone dyamenty: indziéj znowu 40 — 50 sążni głęboko, razem z innemi kruszcami znachodzą się te klejnoty.

Robotnicy muszą w skale wykuć otwór, mięknąc kamień za pomocą ognia, i pracując dopóty, dopóki nie dobędą dyamentowéj ziemi. Ziemia ta jest czerwonawa, czasem zaś żółtawego koloru, formując niekiedy tak twardą około dyamentu skorupę, że ją bardzo trudno od niego odłączyć i dyament rozpoznać.

Dla wyszukania dyamentów z pomiędzy wykopanéj ziemi, kładą ją w duże kamienne rowy, zlewają wodą, rozbijają bryły, mieszają jak najstaranniéj, a potem spuszczają wodę z mułem. Pracę tę powtarzają dopóty, aż woda czysta zaczyna odpływać: poczem przy jasnym blasku słońca przerzucają owe kamyczki, szukając dyamentów: skoro najmniejszy obłoczek słońce zakryje, przerywają natychmiast robotę; albowiem przy blasku słonecznym łatwo odkrywają każdy kamyczek dyamentowy.

Największy znajomy dyament, król wszystkich dyamentów znaleziony w Brazylii, jest własnością króla portugalskiego. Waży on 1680 karatów, czyli około 11 uncyi, nie jest jeszcze szlifowany i szacowany bywa na 224 millionów funtów szterlingów: summa, którą łatwiéj jest wymówić, niż pojąć. Po nim, co do wielkości, następuje dyament, znajdujący się na wyspie Borneo, ważący 367 karatów. Poczem nazwać można dyament Wielkiego Mogoła, ważący 297 karatów, wartości 625000 funt. szter.; jest on różowego koloru, wielkości połowy kurzego jaja. Dyament zdobiący berło rossyjskie, kupiony przez Katarzynę II, waży 179 karatów. Austryacki dyament Maxymilian, ma ważyć 139 karatów, wartości 155682 funt. szter.

Atoli najpiękniejszy i najświetniejszy ze wszystkich dotąd znanych kamieni, jest tak nazwany Pitt, przez dziadka ministra Pitta, gubernatora wyspy Madras za 12000 funt. szterl. kupiony. Samo szlifowanie tego kamienia kosztowało 5000 funt., a okruszyny szacowano na 8000 funt.

W roku 1717 kupił go xiążę Orleanu, Regent w czasie małoletności Ludwika XV za



Jak dyamentów szukają.

135000 funt. na którój to przedaży jeszcze agenci 5000 funt. zyskali. Waży 136 karatów (a zatem nie spełna jednę uncyą) i w roku 1791 od złotników na 12 mill. franków oceniony został. Dyament ten znaleziony na półwyspie Malacca, zdobi koronę króla francuzkiego: jest okrągławy, cal długi, $\frac{3}{4}$ cala szeroki, $\frac{1}{6}$ cala gruby. Królowie francuzcy nosili go na kapeluszu, Napoleon zaś u rękojeści swéj szpady.

Wszystkie inne dyamenty w Europie mniejszéj są wartości.

Mało jest przedmiotów w naturze, tak błahych na pierwszy rzut oka, którymby tak niezmierna lubo urojona wartość od wszystkich ucywilizowanych ludzi i narodów zgodnie przyznawaną była, jak dyamentom: bo cóż jest właściwie dyament? oto nic innego, jak kawałek krystallizowanego węglika. Każdy dyament w płomieniu, a nawet w ognisku szkła palącego, bez dymu spali się i zniknie. Złoto topi się w ogniu, lecz gdy ostygnie, znowu na twardy zamienia się kruszec, zachowując swą wartość; dyament zaś spali się do szczętu, ponieważ czystym jest tylko węglikiem. A jednak za 2 łóty drogiego węglika, ulatującego w ogniu, dają 80000, mówię: ośmdziesiąt tysięcy łótów czystego złota, albo jeszcze więcéj.

Herbata.

Krzak, z którego liści mamy herbatę, rośnie już to dziko, już też chodowany bywa, rzadko 6 stóp wysokości dochodząc. Dwa gatunki her-

baty rozróżniają się, czarna (Therbu) i zielona; pierwszy ma liście ciemno zielone, przybierające przy suszeniu kolor czarny; drugi gładkie, jasno zielone, zatrzymując swój kolor. Kwiat biały podobny do dzikiéj róży, zawięzuje się w owoc, kosztowny dający olejek.

W trzecim roku pierwszy raz zrywają się listki na herbatę, a w siódmym ścina się krza-



H e r b a t a.

czek, aby nowe wydawał gałązki. Listki zrywają się przez rękawiczki: zbierane w Marcu, nim się zupełnie rozwiną, dają najlepszą herbatę, którą sam Cesarz zatrzymuje: zrywane w Kwietniu, stanowią najlepszą herbatę w handlu; trzecie żniwo w Maju mało co bywa poważane. Dobroć herbaty zależy od ziemi, chodowania i sposobu suszenia. Zerwane listki suszą się pod dozorem cesarskich urzędników, w gmachach naumyślnie do tego urządzonych, gdzie 10 do 12 pieców znajduje się z miedzianemi lub żelaznemi blachami, na które listki zerwane położone ustawicznie rękami przewracane być muszą. Rozgrzane tym sposobem zwijają się i suszą powtórnie, a potem w skrzynki pakują, aby mocy i zapachu nie straciły.

Z gatunków czarnéj herbaty najlepszą jest ta, którą karawany z Chin lądem przez Rossyą do Europy przewożą; sprowadzona morzem, wiele z mocy swéj i zapachu traci. Pekińska herbata należy do czarnych, hajzańska do zielonych. Chińczykowie piją herbatę, tak, jak Arabowie kawę, bez cukru i mleka: Mongołowie kładą w nią masło.

Niepodobném jest do wiary, ile sama Europa corocznie za herbatę wydaje pieniędzy. Angielska wschodnio-indyjska kompania wyprawia co rok z portu Kanton do 30000000 ff. Handel herbatą ważnym jest dla Anglii, Hollandyi, Danii i Rossyi: przez kraje te wchodzi do Europy corocznie 18 do 20000000 ff. rozmaitéj herbaty; najwięcéj spotrzebuje jéj Anglia, albowiem w roku 1826 pokazało się z obrachunków ceł, iż weszło do W. Brytanii herbaty za 2984041 ff. szterlingów.

Jan VI. sprowadził w roku 1816 herbatę do Brazylii wraz z wielu biegłymi w sztuce chodowania téj rośliny Chińczykami. Zakłady herbaty w S. Cruz i S. Paolo bardzo się od tego czasu wzniosły, i spodziewać się należy, iż herbata z Ameryki będzie daleko tańszą i równéj dobroci, jak chińska.

W i e n i e c.

„Widząc nadzwyczajne w domu przygotowania, pytałem się Pana Podstolego, czyli się znacznych jakich gości u siebie spodziewa. Najznaczniejszych odpowiedział: dziś zakończywszy żniwo gromada z wieńcem do mnie przyjdzie,“ — Wyrazy te Ignacego Krasickiego, który nam w Panu Podstolim tak dokładny zostawił obraz dawnych zwyczajów i charakteru narodowego, najdobitniéj oznaczają wartość odprawiających się powszechnie o téj porze uroczystości wiejskich, wieńcami zwanych. Poczciwy kmiotek, który cały rok dla pana swojego pracował, a w czasie żniwowym plon pracy rąk własnych, w pocie czoła z pospiechem zbierał, i do gumień pańskich nagromadził, wart zaiste, by go wtenczas za najznakomitszego poczytać gościa, gdy panu ukończonego szczęśliwie żniwa przychodzi powinszować. Uroczystość ta w całéj upowszechniona Polsce, najodleglejszych sięga czasów, i w żadnym innym kraju ani z taką nie bywa odprawiana uciechą, ani z taką ze strony panów gościnnością. Przypomina ona podobne uroczystości u Rzymian Saturnalia zwane, które się 19go Grudnia, (w końcu zatem drugich żniw w owych krajach gorących) na pamiątkę zarazem złotego wieku panowania Saturna odbywać zwykły. Ustawały wtenczas wszelkie między panami, a ich niewolnikami stósunki. Sługom i niewolnikom wyprawiano sute uczty, przy których im panowie sami posługiwali. Wolno było w tym czasie niewolnikowi obok pana z nakrytą chodzić głową, i prawdę mu bez ogródki powiedzieć. I u nas na wieńcu pan pomny na złote żniwo, ucztę wieśniakom wyprawia, do swego domu na zabawę zaprasza, gdzie chłopek porównany z panem, śmiało panią swoją w taniec prosi, a dziew-

czyna pana; ile razy zaś przed graczem nawróci, w dowcipnych a wesołych spiewkach, obok pochlebnych dla państwa zwrotek, nieraz i ostrą prawdę zaśpiewa. Prócz tego i na inne jeszcze natrafiamy obu tych obrzędów podobieństwa. Dwa zawsze żeńcy niosą wieńce, jeden z pszennych uwity kłosów, drugi z samych powiązany orzechów. Trudno wytłumaczyć dla czego właśnie orzechów, będących symbolem lasów nie roli, do drugiego wieńca użyto. Zdaje się prawie, że jak u dawnych Rzymian Faunalia (uroczystości na cześć bożka lasów Fauna), o kilka dni (9 Grudnia) Saturnalia poprzedzały, oboje się i do pogańskich czasów Sławian wkradło, i dziś jeszcze przy wieńcu ślady pokazuje. Wieńce te niosą żeńcy na głowach, idąc parami śpiewają, i przyszedłszy przede dwór, pare razy z sobą na murawie przetańczą, dopiero gospodarstwu wieńce oddadzą. I podczas Rzymskich owych uroczystości tańce młodzieży odbywały się na murawie, a na głowy Saturna i Fauna, jako bożyszcz oznaczających płodność roku i lasów, kładziono wieńce z kłosów i leszczyny. Tak i Kochanowski podał nam obraz roku z wieńcem na głowie:

Rok wszystkorodny, wieniec znakomity:
Niesie na głowie, twoją łaską wity,
A gdzie ty kolwiek stopę swą położysz,
Obfitość mnożysz. (Psalm LXV)

Lecz pominąwszy te porównania dowodzące tylko starożytności zabawy wieńcowéj, ważniejsze w niéj postrzegamy znamiona usposobień i charakteru ludu naszego. Mieszkaniec stref łagodnych z natury obdarzony śpiewnością głosu, wziął się do wtorującéj mu lutni; góral północny dęte polubił instrumenta; sąsiedni pasterze na fletach pasząc przygrywają sobie; chłopek nasz obszerne zalegający równiny, najtrudniejszy wybrał instrument, bo skrzypce. Nie ma wioski, gdzieby się w prostym którym chłopku, nie objawił naturalny do tego instrumentu talent. Wygrywa on na nim dość trudne muzyczne przejścia z duru do molu, i tak ma pojętne ucho, że każdą zaśpiewaną piosnkę od razu na skrzypcach odda. Nasłuchać i napatrzeć się temu można, przy każdym wieńcu. Obok muzykalnéj naszych chłopków zdatności dostrzegamy nie małą poetyczną zdolność. Okazuje się ona w krótkich najczęściéj dwuwierszowych zwrotkach, w których do obrazu z natury wziętego, przypięta jest myśl malująca obyczaje, uczucia lub dowcip. Każdy chłopek jeszcze dzieckiem pomiędzy starszymi piosenki te pamięcią chwyta, popisuje się niemi jako parobek w kole dziewcząt, a i na stare nawet lata, gdy rozochocony, z uniesieniem silnemi je jeszcze piersi wyśpiewuje. Nieskończenie liczne są one wszystkie kompozycyami naturalnéj wieśniaka naszego zdatności i dla tego w każdéj prowincyi osobnym odznaczające się charakterem. Podobnie i melodye jego naturalnego talentu są płodem, a i te, chociaż niemal wszystkie łagodny i smętny jakiś mają pociąg, w różnych stronach kraju różne noszą cechy, pod różnemi także, jak krakowiaki, kujawiaki, mazury i t. p. chodząc nazwami. Prócz tych naturalnych darów podziwiamy jeszcze w prostym naszym ludzie rzadką zwinność i układność w tanach. Pełno poruszeń i mimiki, a że naturalne, nie wymuszone, ładnie im z tém. Najpilniejsza baczność na muzykę; nikt nie zobaczy chłopków naszych bez taktu tańcujących; taniec obudzony muzyką przechodzi w nich we wszystkie członki, całą zajmuje ich istność; rączość w obrotach, skoczność w nogach, w rysach twarzy rozradowana wesołość, oczy pełne życia przy rumieniejącéj się nadobnéj twarzy. Jaka uderzająca różnica widzieć tańcującego między naszemi wieśniaka cudzoziemca! Uważamy daléj uległą podrzędność kobiet, ślad dawnych obyczajów pogaństwa. Przy rozpoczęciu tańca, chłopek biegły w śpiewie i tanie, tak nazwany przewodnik stawa przed graczem, wyśpiewując przed nim melodyą tańca i przytępując nogą, przy składném poruszeniu całego ciała; gdy skończył, a gracz pożądanego mazura wygrywa, idzie przytępując w koło, za nim inni się walą; on zaś jakby od niechcenia głową czy ręką na którą z około stojących dziewuch i kobiet skiwa; ta za nim pospiesza i chwyta za rękę; gdy tym sposobem całe się koło zapełniło w pary, rozpoczynają się obroty w prawą, a potem w lewą stronę; po ukończeniu tańca, każda dziewczyna, jeżeli z żonatym tańczyła skłania mu się do nóg, niejako dziękując za łaskę, którą jéj wyświadczył. Przy największém rozochoceniu chłopek nie zapomina o względach przynależnych państwu. Gdy uważają, że już dość długo w domu pańskim się bawią, przychodzą sami z podziękowaniem za zabawę i uraczenie, i pożegnawszy się wynoszą się do gościńca, gdzie niezmordowani, aż do świtu wesołych chwil używają. Rzadkiemi one są w ich życiu, są to błogie sny, w których zapominając o swojéj niedoli i znojach ciągłéj pracy, szczęśliwymi się czują. Objawiają się wtedy wszystkie ich naturalne serca i umysłu popędy, objawiają zachowane w nieskażonéj czystości dawne zwyczaje, w których oni sami jeszcze się kochają, hołdającym modzie i obcym zwyczajom panom swoim wskazując zwierciadło niezartatego pierwotnego charakteru. Widzimy w niém wesołość, otwartość, hożość, zdatność, odwagę; w ich odzieniu ubiory, jakiemi się od wieków na téj ziemi lud wiejski przystrajał; w mowie prosty ale niepokaleczony jeszcze język krajowy; w obliczu prawdziwe rysy sławiańskie. Bodajby to były ponęty, aby ta niewinna dla chłopków naszych zabawa, nigdy nie wychodziła ze zwyczaju, lecz rok w rok w tym była utrzymywana sposobie, w jakim ją Krasicki opisał. L.

Franciszek Karpiński.

Lubo wielu i znakomitych pisarzy *) skreśliło nam życie Franciszka Karpińskiego, owego poety serca, którego piosnki lud polskim mówiący językiem tak chętnie powtarza; nie zdaje się jednak nam od rzeczy podać czytelnikom naszym obraz życia ulubionego rymotwórcy, wyjęty z jego rękopismu: „Historya mego wieku i ludzi, z którymi żyłem.“ **) Z zwyczajną sobie prostotą i czułością opowiada Karpiński ważne zdarzenia z życia swego, maluje dokładnie zwyczaje owego wieku, dając oraz naukę, iż prawdziwe szczęście człowieka sama cnota stanowi.

Urodziłem się w roku 1741 d. 4. Octobris w ziemi Halickiéj na Pokuciu, w powiecie Kołomyjskim we swi Holosków 3 mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. — W roku moim osmym, już umiejącego czytać i trochę pisać, oddał mię ojciec do bliskich szkół Stanisławowskich. —

Może po roku bawienia mojego w szkołach, był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego hetmana W. K. — Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki, i prawdziwie podobnéj ludności to miasto potem nie widziało, i może widzieć nie będzie. Kilka dziesiąt Senatorów, między którymi kilku Biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświętniejszymi natenczas; cóż dopiero wojska pozgromadzane, które w tamtym wieku na koronacyach tylko Królów, albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły; cóż dopiero nieprzeliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw, dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie, i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego po części już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnemi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem ponsowym z złocistemi franzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi, przyozdobiony. Od drzwi kościelnych aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadając, łoskotu więcéj czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żaliłem się na krzywdę bożą, kiedy dla człowieka Hetmana, z domu bożego, stajnią zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiéj; inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy bańczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie przy nogach trumny, spadał z konia niby żal po Hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów, nie udało się wprawdzie skruszenie chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiéj niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijanymi. Blizko dwóch niedziel ta się uroczystość trupowa odbywała, a może do ćwierci roku, niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego Hetmana, bawili w Stanisławowie. — Dzieckiem będąc w szkołach, już ja ciebie słodka przyjaźni poznałem! Do 400 studentów było w Stanisławowie; czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie przylgnęli? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniéj przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączać zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższéj szkole odemnie, do takiéj przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w któréj prócz poprzysiężenia przyjaźni, była i obietnica wspólna, że któryby z nas pierwszy umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak natenczas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać, i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć. Co żeby tym mocniejsze było, kartkę napisaną pod obraz ołtarza, w miejscu gdzie ksiądz konsekruje, położyliśmy, do mszy księdzu obydwa służyli, i dla utwierdzenia większego naszych tych układów, na téjże mszy obadwa kommunikowali. Wpół roku potém pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł. Przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa, i w grobie kollegiaty tamtejszéj pochowano. Okna domu w którym mieszkałem, były obrócone na kraty grobów téjże kollegiaty: cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według niedawnego poprzysiężenia nie przyszedł? jak długo bezsenne nocy w strachu trawione? póki wyspowiadawszy się i kommunią przyjąwszy, śmiały potém w nocy nawet ku kracie grobowéj szedłem; i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał. Tak usłużna i drobnym dzieciom religia; spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni. Z drugim przyjacielem Malickim, raz przyjaźń mi moja na złe wyszła. W kościele pod czas nabożeństwa, starsze klassy, jako to: Poetowie, Retorowie i Filozofowie, w ławkach siadywali a młodsi, przed ławkami modlili się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim, podczas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą

---

*) Kaź. Brodziński — Autorka pamiątki po dobréj matce — X. Chodyniecki.

**) Oddrukowana pierwszy raz w mało u nas znanym Noworoczniku litewskim pod napisem: Znicz. Wilno 1834.

w kościele swawolą moję, i zaszedłszy poza ławki, z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek, przydawszy głośno; „złego i w kościele biją“ a potém poszedł do swojéj ławki, i spokojnie kazania słuchał. Prawda z strony ojca, a wstyd z mojéj, przypominały mi napotém skromność w kościołach. —

W szkołach mniejszych, najpierwszy byłem między kollegami moimi do swawoli. Jakże to



Franciszek Karpiński.

wiele żydom okien powybijanych?; koło domu, gdzie stałem, pozwodzonych ludzi przechodzących porzuconym wśród drogi szóstakiem, przywiązanym przez dziurkę do długo skręconéj włosieni białéj, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szóstaka zchylał, pociągnąwszy nagle przez okno włosień, szóstak z nią ku mnie uciekł. Wieluż to bijąc się w kije (jak był natenczas zwyczaj na rekreacyach) z ręki drugiéj piaskiem oczy zasypałem, a potem go kijem w głowę dowoli natłukłem? Krew żywa, która do takich i tym podobnych swawoli poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczanych mi na pamięć pensów najłatwiéj nauczał. A tę pilność i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiéj się uczącego nie było. Dyrektór moj Nadziejowski, zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydanych słuchający, raz mię słuchać nie chciał, bo powiedział, że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale znowu taż sama żywość, zrobiła mię do mojéj religii, wpojonéj przez ojca, gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się żywotów S S. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszéj gospodyni, uciekłem w nocy do blizkiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału do niéj przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mię szukano, czwartego sam powróciłem zreflektowany, że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy, jest to tylko mówić, a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz S. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła znowu myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem, że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyźnie od Stanisławowa nie tak daleko odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać, i w środku tego miasta, Mahometa Proroka Muzułmanów ostatniemi lżyć wyrazami: tak obrażeni Turcy pewnieby mię za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwéj, jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały: dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo, a z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym, i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Motyl i pszczółka, (bajka).

Bujając motyl po łące
Z kwiatka na kwiatek ulata,
I że miał przepaski śklnące,
Już się z drugiemi nie brata.
Gdy na róży zoczy drucha,
Zaraz spędza ze zdobyczy,
Gra nader wielkiego zucha,
Lecz innych zalet nie liczy.
Zatopiony w swéj swobodzie,
Spostrzegł pszczółkę w kwiatka łonie:
„Precz mi, krzyczy, podły rodzie,
„Precz mi, precz mi na ustronie,
„Ja tu pierwszy w téj dolinie,
„Moja godność wszędzie słynie.“
Pszczółka na to skromnie rzecze:
„Wcale ja temu nie przeczę,
„Pierwszyś próżniak w téj dolinie,
„Z tego twoja godność słynie.“

T. B.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)